

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc“
przy Państwowych Seminarjach Nauczycielskich w Białymstoku.

TREŚĆ NUMERU.

- | | |
|--|------------------|
| 1. Słowo a czyn | V ź. |
| 2. Powstanie styczniowe | Hakc. |
| 3. Wspomnienia młodości | Jerzy Lazur. |
| 4. Wycieczka do Krewa | J. |
| 5. Poranek | Z. III m. |
| 6. Z dzienniczka harcerki | J. |
| 7. Legenda | W. Dudziński. |
| 8. W gromadzie siła. (O Walnym Zebraniu) | |
| 9. Organizacja wewnętrzna „Zjednoczenia“ na terenie Białegostoku | Jerzy Lazur. |
| 10. Z naszego życia sportowego | R. Kurs IV-ty m. |
| 11. Radio i moja rada | Jerzy Lazur. |
| 12. Kauczkowy kołnierzyk | Jerzy Lazur. |
| 13. Migawki z Walnego Zebrania U. S. S. Br. P. 22/1 1928 r. | Jerzy Lazur. |
| 14. Odpowiedzi Redakcji | Redakcja. |



Adres Redakcji i Administracji: „Młoda Myśl“ Państwowe Seminarjum Nauczycielskie w Białymstoku № tel. 36.

Redaktor: Grzegorz Onacik.

Redaktor odpowiedzialny: P. Gajdzica.

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach Naucz. w Białymstoku.

Słowo a czyn.

Są wypadki, kiedy słowo osiąga wartości czynu. Takim słowem-czynem była poezja narodowa w okresie niewoli naszej Ojczyzny, bo miała moc porywającą, była źródłem nadziei dla kilku pokoleń.

A jednak, kiedy przejdziemy myślą życie każdego z naszych wieszczów, zauważymy, iż żaden z nich nie czuł pełni zadowolenia w swej twórczości, zachowując wielką cześć dla czynu.

Krasiński nie cofa się przed nazwaniem swej poezji fałszywą dlatego tylko, iż czuje pewien rozdźwięk między swymi czynami a idealnymi wyżynami, do których wznosi ducha w poezji. Życie Słowackiego—to ustawiczna walka w poszukiwaniu wielkiej idei, któraby wskazała poecie drogę czynu. Adam Mickiewicz czuje się wtedy szczęśliwy, gdy może brać czynny udział w pracy nad odzyskaniem Ojczyzny, a wyjazd do Konstantynopola—to ostatni czyn narodowy poety-patrioty.

Słowa nie zawsze są odbiciem wartości moralnej człowieka; są tylko pozorem zewnętrznym, często mylącym otoczenie.

Łatwość szafowania pięknymi słowami cechuje nieraz ludzi o słabej woli i mało wyrobionym charakterze.

Zamiar ma o tyle większą wartość, że świadczy już o pewnej skłonności do czynu, ale jeśli powstał pod wpływem chwilowego wrażenia a nie głębokiego przemyślenia, może się rozbić o pierwszą napotkaną przeszkodę.

Ileż to pięknych projektów ginie w ten sposób!

Dopiero czyn uderza nas swą mocą. Bije z niego potęgą faktu, olśniewa urok zwycięstwa woli nad słabościami natury ludzkiej. Jak przykład męstwa wodza podnieca żołnierzy do walki, tak każdy czyn porywa i sugestjonuje swą siłą. Dlatego też n. p. w pracy pedagogicznej większe znaczenie mają przykłady nauczycieli, niż ich wskazówki i napomnienia. „Słowa zachwycają, przykłady porywają”—mówi znane przysłowie.



Wartość życia człowieka ocenia się na podstawie jego czynów, jako widocznych przejawów charakteru. Dzień każdy — to jakby szczybel w doskonaleniu duszy. Nic tak nie uszlachetnia natury ludzkiej, jak praca dla drugich, jak zdolność ukochania bliźnich i świata, jak wielkie umiłowanie idei, i tylko ten człowiek może powiedzieć, iż nie zmarnował dnia, który choć małą cegielkę przyłożył do budowy gmachu szczęścia ludzkości.

Jednak życie codzienne, choć takie proste, cięższe jest niejednokrotnie od walki i łatwiej czasem polec w chwale na polu bitwy, aniżeli zwyciężyć w życiu codziennym własne przywary, tak, aby społeczeństwu całemu nie były zaporą na drodze jego rozwoju.

Jeżeli przenosimy wartość szeregu drobnych wysiłków nad wartość jednego, może wielkiego, ale dokonanego pod wpływem okoliczności, to tem bardziej musimy uznać przepaść, leżącą między każdym czynem a słowem, które jest zawsze tylko odbiciem pragnień lub zapatrywań, a nie rezultatem trudu i wysiłków.

V. z.

POWSTANIE STYCZNIOWE.

„O Ty, co ogień męstwa rozpalasz w mem
tonie—Ojczyzno!“...

„Dla Ciebie zjadł smakują trucizny,
Dla Ciebie więzy, pęta niezelżywe“...

Rozwarła się księga dziejów Narodu Polskiego, na której purpurą krwi został wypisany rok 1863. Rok wielkich porywów i nadziei, bezgranicznego poświęcenia i zapła. Rok Bohaterów! Ożyły duchy tych, co pokotem zasłali pola Grochowa, Igań, Ostrołęki, co swoją krwią ofiarną i gorącym sercem pragnęli wyrzeć ojczyznę z drapieźnych rąk najezdźcy-tyrana. Zdruzgotane ulewą żelaza, pokotem legły waleczne Ich szeregi. I kiedy ostatni żołnierz, śmiertelnie rażony, runął w kałużę krwi, znowu rozległ się dźwięk kajdan, co — jęcząc — straszną zawodził pieśń.. Ta pieśń była palącym stygmatem upokorzenia i hańby, przytłaczającej duszę polską od kolebki.

Rabie poddaństwo, ten wstyd niezmierny, sowiecie spłacono podatkiem krwi.

Szybkim krokiem zbliżały się chwile powstania.

Jeszcze jedno bezprawie najezdźcy, jeden gwałt i przebrała się miara cierpliwości, nastąpił wybuch.

Lasy i bory Korony, nieprzebyte puszcze i mateczniki litewskie zaroiły się od powstańców.

Straszne były ich boje. Tułaczem życiem znędziali, źle uzbrojeni, jak bujne kłosa padali pod rotowym ogniem wrażeń strzałów.

Zbryzgany krwią sztandar powstania chwiał się... Z martwych rąk wypuszczone drzewce inne chwytaly dfonie. Na miejsce zmarnych nowe stawały zastępy. Orleża z gniazd wydarte, dzieciaki z ław szkolnych stawały do szeregów, pragnęły walki.

Śniąc o wolności, jak widma wyłaniali się z lasów, napadali wroga i zwycięskich lub zwyciężonych znowu otulały stuletnie bory. Ich szare kurtki powstańcze i skronie, otoczone męczeńską aureolą, budziły cześć i szacunek. Krążyły o nich mistyczne legendy i dreszczem trwogi przejmujące baśnie.

Nad każdym z nich Moskal wypisał wyrok śmierci.

Nieraz, wśród nocy głuchej, rozlega się u wrótni dworskich ciche pukanie.

To znak umówiony.

Budzi się na chwilę dom.

Płyną szeptu tajemne... drżące... urywane... i łomot serca słyhać. Potem znowu cisza.. Wierne psisko tylko czegoś żalósnie wyje i wiatr czasem z za czerniejących borów przyniesie odległe, milknące echa strzałów... Gdzieś bój wre zażarty.

A w izbie splakane oczęta dziecięce zwracają się z trwożliwym szeptem do matki: „Matulu, kiedy zobaczę tatę i Stacha“?

Pod drżącą piersią niewieścią skurczone bólem serce potężnym rytmem uderza i jęk, z głębin duszy wydarty, na ustach pobladłych zamarły, zdławionym płynie szeptem: „Oni... dziecino... nie wróca“..

Przez zwały chmur przedzierająca się gwiazda Orjona ujrzała łzami zalane, błękitne oczy pacholece. Jasny jej promień padł na porzucony w kącie pałasz drewniany. Milknące w ciszy sennej echa walk z za boru ostatnim, przedśmiertnym wysiłkiem przywiała pogwar smętny: „To twój talizman, dziecino!“... Urodzone w niewoli, okute w powiciu pachole taką po ojcu otrzymało spuściznę.

Przez lasy litewskie z północy szła śmierć.

Zimna, lodowata, uśmiechem wyszczerzonych zębów szydząca z tej krwi, co pod brzeszczotem morderczego jej narzędzia buchała z tętniących serc.

A Ty, powstańcze, marłeś bez słowa skarg, i z tu. Usypiałeś na wieki z tą samą wiarą, która Cię wiodła na bój, z głębokim przekonaniem, iż z Twego trudu, z Twej krwi, zakwitnie krzew wolności, jutrzniany nastanie dzień.

Nie zhańbiłeś swych ust służalczą prośbą o litość. Twój kat nie znał tego uczucia, on nie miał serca i duszy.

Powstanie konało. Nie ustawał jeszcze dźwięk oręża. I tak, jak zwierzę ciężko ranione, tarzające się w posoce własnej krwi, w przedśmiertnej agonii zrywa się jeszcze ostatkiem sił i mierzy w zabójcę, a potem pada bez życia, tak i powstanie dźwignęło się po raz ostatni, aby runąć w popioły i gruzy swego dzieła. Lecz zanim padło, rwały się z mocarnych, wolnych piersi gromkie Ich pieśni:

„Czy umrzeć nam przyjdzie wśród boju,
Czy w tajgach Sybiru nam zgnieć:
Z trudu naszego i znoju —
Polska powstanie, by żyć”.

W ostatnich szeregów płonęła jeszcze niezlomna wiara i tlił się znicz nadziei. I jedno i drugie zgasło wraz z Niemi. Skończył się wielki, królewski sen, jedyny romans Ich życia. Nie ziściły się szczytne marzenia. Oto ukochaną Ich Ojczyznę znowu siepacz w pęta i łańcuchy zakuwa, sypie nad nią mogiłę i ciężarem ciał pomordowanych Jej synów przywala wieko trumny. Skończył. Zbrodnicze ręce zatarł z radości i, obróciwszy ślepią w inną stronę, wiódł dalej dzieło szatana. I znowu, jak straszny refren zbrodniczej pieśni, zadzwoniły kajdany.

Wybuchł styczniowy przestał istnieć. Ostatnie jego drgania milkły wśród skrzypu szubienic na stokach cytadeli, w tajgach i mrocznych lochach kopalń Sybiru.

I, zdaje się, nic po Niech nie zostało, prócz tych mogił zapadłych, po lasach i ugorach wieczne odprawiających warty...

Prócz tej nuty boleśnie łkającej, co drży wieczyście w tęsknym poszucie naszych borów...

I tego szloch z męczynnych piersi, co przekleństwem zawisnął nad głową mordercy jej synów.

I skargi dziewczęcej, rwącej się z płomiennego serca nieukojoną tęsknotą od krzyża, do krzyża, w poszukiwaniu mogiły kochanka...

Nic, prócz kirem żałoby spowitej ziemi...

Ale nie same łzy jeno.

Pozostawili Oni ideę walki o wolność, potężny łańcuch bohaterskich czynów i Swe Męczeństwo.

Pod Ich duchowym przewodem, w Ich glorii wychowały się dwa przysze pokolenia.

Z Ich popiołów Feniks powstał — lud.

Dzięki Nim cały świat zawtórował słowom:

„Polak nigdy nie umierał,

Ziemię utracił, wydarto mu prawa —

On, wielkiej prawdy stając się dowodem,

Wskazał, że naród zawsze jest narodem,

Gdy mu zostają miecz, serce i sława”.

Haka.

Wspomnienia młodości.

Miałem wówczas lat niespełna dziewięć. Życie me mknęło jak sen. Ileż mi ono zostawiło wrażeń! Najsilniej wryły się w umysł mój obrazy ze słyszanych bajek.

Dziadzio! Kochany dziadzio! Ileż to on mi cudnych napowiadał bajek!

Długie zimowe wieczory... w pokoju tak ciepło... siedzę na kolanach dziadka... koło pieca widzę, jak przez mgłę, babcię, patrzącą z zachwytem na swego wnuczka.

...Bawię się swym włosem dziadkowej brody i ze straszną ciekawością, z napiętą uwagą słucham—nie! jam wtedy nie słuchał, jam wchłaniał te opowieści o Ali Babie, o czterdziestu rozbójnikach, o Wierzyнку, o królu, co w skałach Ojcowa się ukrywał...

* * *

— No, Jasieńku, zrobię ci niespodziankę — powiedział do mnie pewnego razu dziadko.

— Przyjdzie do nas pan, który opowie ci dużo ciekawych powiastek.

Tak się tą myślą przejąłem, że i konik spokojnie przez dni oczekiwania stał w kacie... i nie ciekawiło mię, co jest w środku zabawek. O, ja zawsze musiałem się dowiedzieć, dlaczego „ten samochód” sam jedzie, albo — dlaczego oczy lalki, którą miała siostra, zamykają się i otwierają, albo — dlaczego tatuś ma tylko

„wasi“, dziadzio zaś ma „wasi“ i „blodę“, a mamusia niema ni „wasiów“, ani „blody“, lub kiedy „pan Jasio“ będzie miał „wasi“. Musiałem się zawsze wszystkiego dowiedzieć, bo jeżeli nie, to „pan Jasio był choly“.

— Dziadziu, a kiedy ten pan przyjdzie? — pytałem coraz natrętniej.

— Dziś, dziecio — brzmiała pocieszająca odpowiedź.

Jak ja się nie mogłem doczekać wieczora tego „dziś“, na ileż pytań zmuszone były odpowiadać osoby, co mnie otaczały..

W wyobraźni mej wirowały cudne zamki, królowny, złote jabłka, barwne kobierce, ogrody o niezliczonych ilościach różno-barwnych kwiatów...

Ktożby mógł tysiące tych obrazów przelać na papier!

* * *

Pamiętam ów wieczór... zima... mróz... świat biały... okna naszego domu powleczone jakby wzorzystymi witrażami, zrobionymi z przecudnych liści, drzew, smoków...

Dziadzi nie było. Ja siedziałem z babcią, która opowiadała mi o aniołkach, o „Bozi“, o piekle. Och, jak ja się strasznie bałem piekła!... Wystarczyło postraszyć mnie piekłem, żeby uspokoić mię w płaczu, czy też przeszkodzić mi w psuciu jakiejś zabawki. Siedzimy tak przy ciepłym piecu, ja jednakże z natężoną uwagą wpatrywałem się w drzwi. Wszedł! Wysoki, chociaż już pochylony ciężarem lat. Długa biała broda, spływająca aż do pasa. Wszystko to otoczyło go w mej wyobraźni nimbem tajemniczości.

Po przywitaniach siedliśmy w kółko i przybysz począł snuć swe opowiadanie:

„Rok 1863... Ja byłem wówczas w Grabowie. Posłyszałem ci, że gdzieś koło Rajrodu zebrała się gromada powstańców. Zebrało się nas tedy 16 chłopów — smyków zdrowych, jak dębczaki, i hajda z dubeltówkami do lasu. Trochę mieliśmy stracha, żeby nas juchy Moskale nie chwycili, ale że to u młodych rezolucja jest wielka, takeśmy i poszli. Dziwna rzecz! Toć calušką drogę człowiek się i natyrał i strachu najadł, ale nigdy takiego wstrząśnienia we wnętrzu nie miałem, jak trochę później... Jezusicku najdroższy, a toż ci zaszczyt i splendor nie mały walczyć w tamtych czasach za naszą Przenajświętszą, Najdroższą, umęczoną Polskę...

Przyjęto ci nas w partji godnie: dano kozuchy, buty, jadła, gorzałki.

Obóz nasz był parę wiorst za Bełdą, niedaleko Rajrodu. Ja, że to byłem, panie, chłop, co się patrzy, i żem wrony zestrze-

liwał z dubeltówki w locie, zostałem starszym nad dziesięcioma chłopami.

Wysłano nas, pamiętam, jak żywo, na spenetrowanie okolicy.

Cisza była wielka. W lesie słychać było jeno skrzyp naszych butów. Krzaki i drzewa, pokryte grubą warstwą śniegu, wyraźnie rysowały się w oświetleniu księżyca.

Szliśmy tak dosyć długo, nigdzie nie było widać nikogo, czasem przemknął się zajac...

Kazałem tedy moim chłopom roztasować się na polanie i nieco odpocząć.

Sam siadłem opodal, popiłem gorzałki. Ciepło mi się po kościach rozeszło, i trochę się zdrzemnąłem. Ot niewiele, odrobinę!

Wtem — nie wiem, czy to było na jawie, czy też we śnie — patrzę ci prościutko przed siebie... a tu — Jezusicku kochany! jeszcze i teraz zimno mi się robi! — z za jednego krzaka, z za drugiego sunie do mnie cała zgraja złych duchów, a wszystkie bestje poprzebierane za kozaków. Portki mieli z czerwonymi lampasami, zamiast szpencerków niby kołtuny, tak jak na niedźwiedziu, na łbach czapy baranie, a z pod nich widniały rogi. Brr... A wszystko to się wali prosto na mnie! O, Jezu! Jużem i nadzieję ocalenia stracił...

Ale patrzę ja w tej srogiej opręsi za siebie, a tu ci mój nieboszczyk ojciec stoi, a dookolusienka to znowu cała moc aniołów, a wszystkie takie ładne, takie cudne, że aż z tej cudności oczy mi się mrużyły. Spojrzę ja ci znowu na polanę, a tu ani jednego złego ducha niema! Polana wydała mi się otoczona wstążką, zrobioną z tęczy. Obejrzałem się na nieboszczyka, ale ten pokazał mi palcem na polanę i rzekł: — Patrz tam!

Patrzę, a na polanę poczyna ci płynąć jakieś wielkie światło... Naraz ujrzałem na środku tron złocisty, na tronie zaś siedziała Matka Boża, u stóp jej klęczała umęczona nasza Najukochańsza Polska. Nad tronem Najświętszej zawisł orzeł Polski. A Polska to ci była śliczna pani, tylko od łez, których dużo wylała, miała brózdę na obliczu.

Z wyciągniętymi ramionami o coś prosiła Najświętszej...

Nagle zrobiło mi się zimno, otrząsałem się i te dziwne marzenia pierzchły ode mnie.

* * *

Długo jeszcze pan Brzózko, nad którego ciałem dziś już szumią drzewa cmentarne, opowiadał o swych przejściach podczas walk powstańczych w roku 1863.

Dusza ma, żadna wrażeń, wchłaniała te opowiadania jako coś najdroższego i najcudniejszego.

Jerzy Lazur

Wycieczka do Krewa.

Wakacje 1925 roku spędziłam w Borunach. Jest to wieś, posiadająca kościół i stary klasztor. W klasztorze mieści się obecnie Seminarjum Nauczycielskie Męskie (trzy kursa). W kościele, w bocznym ołtarzu, znajduje się obraz Cudownej Matki Boskiej, o której wspomina Mickiewicz w jednym ze swych wierszy pod tytułem „Nocleg”. Wieś jest nieduża, składa się z kilkunastu domostw.

Przed kościołem rozciąga się duży plac, po drugiej stronie którego znajduje się kilka sklepików. O Borunach wspomina Chodźko w swoich „Obrazach Litewskich”.

Za wsią rozciągają się pola uprawne, lasy, zarośla. Zarośli jest bardzo dużo, bo podczas wojny światowej przez kilka lat nikt tutaj nie uprawiał pól i wskutek tego zarosły one młodemi brzoškami.

W zaroślach tych latem bywa moc kwiecia. Olbrzymie liljowe dzwonki chylą ku ziemi swe kielichy, białe storczyki rozsiewają silny zapach. Łąki są błotniste, na wiosnę wydają prześlicznie, pokryte różowym kwieciem firletki. Nad brzegami niedużej rzeki ścielą się niebieskim kobiercem niezapominajki. Ponieważ zjechało się tu na wakacje kilka osób młodzieży szkolnej, przeto postanowiliśmy zwiedzić okolice Borun. Żadnych jednak środków komunikacyjnych prócz naszych własnych nóg nie mieliśmy do rozporządzenia, robiliśmy więc dosyć długie wycieczki piesze i korzystaliśmy ze wszelkich możliwych okazji.

O kilka kilometrów od Borun znajdowała się wieś Asany. Seminarjum wydzierżawiło tam łąkę. Jednego pięknego poranku cała nasza gromadka na dużym drabiniastym wozie pojechała do Asan na sianokos. Droga nasza wiodła przez pola, mijaliśmy łąny dojrzewającego zboża, kwitnącą grykę, różowe pola koniczyny, niebieski łubin. Potem wjechaliśmy w las i wkrótce byliśmy już w Asanach. Wóz nasz zatrzymał się na rozległej łące, zarzuconej dosychającym sianem. Wdali widniał ciemnozielony młody las. Wśród kilku drzew wznosił się mały blaszany domek. Latem mieszkali w nim właściciele tego majątku. Dwór ich został podczas wojny spalony. Łąka ta była dawniej polem, które—nieuprawiane przez kilka lat—zarosło bujną trawą. Teraz powoli doprowadzano ją do dawnego stanu, zaorując co jesieni duży kawał tego ugoru. Wy-skoczyliśmy z wozu i rażno zabraliśmy się do pracy. Najmłodszą część naszego towarzystwa wyprawiliśmy do lasu po

grzyby, reszta pomagała przy suszeniu siana. Obiad gotowaliśmy przy ognisku — harcerki złożyły tu dowód swych umiejętności kulinarnych, ale w upalny dzień półtoragođzinny pobyt przy ognisku dał się dobrze każdej we znaki — byłyśmy czerwone, jak sukienka najmłodszej naszej pomocnicy, małej Heli. Po obiedzie i krótkim odpoczynku pomagaliśmy jeszcze w pracy na łące, a kiedy słońce zniżyło się, poszliśmy zwiedzić Krewa, odległe o trzy kilometry.

Droga wiodła nas znowu przez las, którego podszycie stanowiły różowe wierzbówki; te miejscami rosły w takiej ilości, że tworzyły na polankach różowe łąny. Spotykaliśmy wszędzie splełane, kolczaste druty, jako ślad dawnych rowów strzeleckich, można było również znaleźć odłamki kul armatnich. W pobliżu Krewa krajobraz się zmienił. Droga stała się bardziej piaszczysta, podszycie lasu stanowiły poczynające już kwitnące wrzosy. Weszliśmy w ulice miasteczka. Droga nierówna, pełna wybojów. Po obu jej stronach wznosiły się szare, niskie domki, gdzieniegdzie spotykaliśmy małe blaszane budowle, takie jak w Asanach. Ludzie, nie mogąc odbudować zniszczonych przez wojnę domostw, mieszkają w tych prowizorycznych domkach, pozostawionych przez Niemców. Dopiero w rynku ujrzeliśmy nowe, drewniane domy, w których mieściły się przeważnie sklepiki żydowskie. Szliśmy dalej, aż do ruin zamku Giedymina. Są one jeszcze dosyć wspaniałe i wskazują, że niegdyś wznosił się tutaj olbrzymi gmach. Gruzy jego były teraz porośnięte łopianem i pokrzywą, a w dawnym podwórku zamkowym pasło się kilka młodych kózek. To tutaj, w tem miejscu, w 1385 roku Litwa i Polska łączyły swe losy na dolę i niedolę?... Czy takie było wtedy Krewa? Mimowoli zdaje się nam, że ruiny zamieniają się we wspaniałą zamek, do wrót którego kołaczą zakuci w stal rycerze... Oj, nie, te czasy już nie wróca dla Krewa! Teraz jest to środowisko, w którym się stykają: wieśniak, potrzebujący niektórych przedmiotów codziennego użytku, i żyd tych przedmiotów mu dostarczający. Trzeba pogodzić się z losem i myśleć, jak podnieść kulturę takich kresowych miasteczek, co uczynić, by one wiedziały o swej własnej przeszłości. Ruiny zamku krewskiego są nawet wspanialsze od ruin zamku w Lidzie, a jednak takie zaniedbane, opuszczone i przez to swe opuszczenie i dziłość takie pięknel...

Dużo na ziemi naszej, szczególnie na Kresach Wschodnich, jest miejsc, które mają za sobą bogatą przeszłość, a jednakże stały się takie szare, zwykłe, i wielu z tych, którzy tam mieszkają, nie wie, co się w ich wsi lub mieście działo przed

laty. Któż ma tych ludzi oświecić? Kto ma rozjaśnić szarość ich życia? Na te pytania nie odpowiadam, bo sądzę, że każdy z czytelników „Młodej Myśli” znajdzie na nie odpowiedź w swej duszy.

J.

PORANEK.

Już świt różany rozprasza mrok nocy
I drga na falach skierkami purpury;
A promyk słońca, nabierając mocy,
Swym blaskiem spędza cień nocy ponury.
Już się różowią przybrzeżne szuwary,
Co zawsze gwarzą w wietrzyka podmuchach,
Ze snu zbudziły się już nenujary,
I kąpią piersi we mgieł lotnych puchach.
Słońce wychyla swą tarczę płomienną
Nad bór, co wstęgą się czerni dokoła,
I szlak z purpury, błyskami promienny,
Wyłata w dali na falach jeziora.
Z sitowi nurek wyruszył czubaty,
Płynie ospale po toni jeziora;
Nad borem zawisł król ptaków skrzydlaty,
I toczy zwolna wzrok senny dokoła.
Powoli płynie ma łódka na fali,
Wciąż gnano wiatru świeżego podmuchem,
Błyskając żaglem w roz srebrzonej dali,
Pruje fal srebrnych grzbiet miarowym ruchem.
Płyn, chybka łódka, hen w dale zamglone,
Rozprosz me myśli, płynące bez końca...
Może rozjaśnisz me serce stęsknione,
Co chce się wyrwać w błękitny, do słońca.

(Wspomnienia z obozu)

Z. III m.

Z dzienniczka harcerki.

Byłam dzisiaj pierwszy raz w ochronce, w której każda z naszych druchen ma co tydzień dyżurować. Druchna Janka posłała nas na górę do tych najmłodszych. Weszliśmy obie z Helą do dużego pokoju. Kilkoro dzieci, ubranych w jednako- we, czerwone sukienki, podbiegło ku nam i otoczyło nas dokoła. Jedne stały zdaleka i spoglądały na nas nieufnie, inne łapały nas za fartuszki i domagały się, by je podnieść do góry. Przed pój- ściem do ochronki byłam w parku i pierwsze znalezione wśród

trawy dwa fiołki przypięłam sobie do ubrania. Jedna z dziewczynek zaraz e spostrzegła i poczęła wołać: „Kwiatki, daj kwiatki!” Uczyniłam radość jej prośbie. Nie mogą maleństwa biegać po ogrodzie, nie mogą cieszyć się słońcem i kwiatami, niechaj chociaż te drobne fiołki przymiosą im trochę radości. Po chwili byłyśmy z tą małą jakby dawne znajome. Opowiadała mi o wszystkich obrazkach, zawieszonych na ścianie pokoju, w którym się dzieci bawiły. Niestety, tylko Manusia mogła cośnieceś opowiedzieć, inne dzieci wymawiały tylko luźne wyrazy. Kiedy jedno dziecko wzięłyśmy na ręce i podniosłyśmy do okna, zaraz wszystkie zbiegały się dokoła, wołając: „i ja! i ja!” lub „mamo! mamo!” Zaczęłyśmy się bawić z niemi. Pośrodku pokoju wiro- wało kółko, a myśmy śpiewały:

„Kółko graniaste, czterokanciaste,
Jak się kółko rozerwało, to my wszystkie—bęć!”

Dzieci jednak prędko nudzą się tą zabawą i szukają no- wego zajęcia, rozbiegając się po pokoju. Wożą się na krzesel- kach, bawią się w gonionego. Na korytarz dzieciom nie wolno wychodzić, ale Irka otwiera drzwi i wybiega. Biegnę za nią, wołając: „Irko, Irenko!” Irka ani myśli wrócić. Podbiegam, łapię ją i wnoszę do pokoju. Irka rzuca się na ziemię, poczyną ko- pać nóżkami i płakać. Pomimo wszelkich usiłowań nie mogę jej uspokoić. Zostawiam ją więc własnemu losowi, a sama idę do in- nych dzieci, obserwując jednak nieustannie, co ta mała robi. Dziewczynka przez długi czas jeszcze leżała na ziemi, płacząc, potem podniosła się, wzięła z kąta jakąś zabawkę i poczęła coś przy niej majstrować, rzucając co chwila nieufne spojrzenia w naszą stronę. Pielęgniarka przynosi miseczki z ryżem i roz- stawia je na stole. Pomagamy dzieciom zawiązywać serwetki i dzieci zasiadają przy stole. Znowu zaczyna się szereg scen.

— Stefciu, jedz!

Stefa odsuwa miseczkę, kładzie łyżkę i wcale nie myśli wziąć do ust pokarmu. Dopiero, kiedy wszystkie dzieci kończą jedzenie, zabiera się do spożycia swojej cząstki.

— Irenko, proszę łyżeczkę!

Irka nie chce jeść małą łyżeczką, tylko dużą, którą pielę- gniarka musi jej przynieść.

Po kolacji dzieci bawią się jeszcze czas jakiś, a potem idą spać. Wchodzimy z niemi do sypialni.

Białe, czyste łóżeczka.

— Kasiu, pokażno swoje łóżeczko!

Kasia, nic nie mówiąc, ciągnie za fartuszek i prowadzi do swego łóżeczka. Niektóre dzieci biegają po sypialni, wcale nie chcą iść spać. Po kilkunastu minutach ułożyłyśmy jednak wszystkie do łóżeczek. Wychodzimy z sypialni.

Całą drogę powrotną rozmawialiśmy tylko o dzieciach. Na podstawie tego krótkiego pobytu w ochronce przekonaliśmy się, jak wiele trzeba cierpliwości i łagodności, by żyć w zgodzie z temi małeństwami, by zdobyć ich serduszka. Praca to trudna i ciężka, ale jednak tak łatwo ją pokochać i tak dobrze można czuć się w światku tych „małych”, wiedząc, że im się coś daje. Ale by móc dać coś komuś, trzeba, żebyśmy to coś posiadali. J.

LEGENDA.

*Igrało morze fal nagich tysiącem,
Ochłaniał głębin szemrało złowrogo,
Gdy Feb — niewolnik ze sercem drgającym
Po piasku morskim bosą stąpał nogą.*

*Po wieczne czasy przez bogów skazany
Olbrzymie głazy na swych barkach nosić,
Skruszony, słaby, bo pracą sterany,
Bogów o litość jął w te słowa prosić:*

*„O Wszechpotężni! zaliż w waszej mocy
Jest tylko: słabym trud i mękę zadać,
Pogrążyć duszę w bezustannej nocy,
Brutalną siłą i torturą władać?...*

*Dajcież mi w życiu choćby takie chwile,
Bym tęsknić przestał za radością życia,
Bym do snu serce ukołysał miłą,
Zbolałej duszy swej nie słyszał wycia”.*

*Z otchłani morskich powstał bożek cudny,
W twarz niewolnika spojrział miłosiernie
I rzekł mu cicho: „Wiecznie czegoś pragniesz,
A przez to bogom już nie służysz wiernie ..*

*Dam ci instrument, który ci osłodzi
Twój chleb powszedni, przesiąknięty łzami,
Weź tę rzecz małą, a z dźwięków powodzi
Utwórz świat inny nad oceanami!”*

*To mówiąc, podniósł z pustynnej ustroni
Kamień z bursztynu i dziwnem zaklęciem
W skrzypce zamienił, a sam w morskiej toni
Znikł, aż się zdumiał Feb nagłym zniknięciem.*

*Odtąd niewolnik piosnką ból łagodzi,
Z przeróżnych dźwięków nowe światy tworzy,
Powstają cudne z tych tonów powodzi,
Światy, niosące barwny uśmiech zorzy.*

*I dziś, gdy serce Feba znów zaboli,
Dar bogów dziwnie koi te cierpienia,
Utula duszę i raba niedoli
Przynosi ulgę — piosnkę zapomnienia.*

W. Dudziński.

W gromadzie siła.

(O Walnem Zebraniu).

W niedzielę, dnia 22 stycznia, b.r. odbyło się zwyczajne Walne Zebranie naszej organizacji spółdzielczej w auli.

Porządek zebrania przedstawiał się następująco:

1. Zagajenie i powołanie Prezydium.
2. Odczytanie dwu protokółów.
3. Sprawozdanie Rady Naczelnej za 1927 r.
4. Dyskusja nad sprawozdaniami.
5. Przyjęcie preliminarza budżetowego.
6. Wnioski R. N., dotyczące przyjęcia członków honorowych.
7. Wolne wnioski.

Na scenie przy stole i w głębi zajęła miejsce nasza Rada Naczelna i Zarząd Główny. W pierwszych rzędach grono nauczycielskie i goście zaproszeni. Prezes stowarzyszenia zagaił zebranie, witając gości w imieniu całej organizacji, oraz dziękując za liczne przybycie, następnie krótko streścił przebieg całej pracy i podkreślił, że w 1927 r. była pod znakiem Zjazdu, w myśl tych zagadnień, które w tej samej sali poruszano przy licznych gościach i delegatach podczas feryj wielkanocnych.

W dalszym ciągu powołano prezydium zebrania. Kolega Sz., jako przewodniczący zebrania, odczytał depezę, nadesłaną przez członka honorowego, wizyt. p. Rusieckiego, z życzeniami owocnej pracy w nowym roku. Sala powitała to głośnym brawem, które przewodniczący zmuszony był w chwili największego rozentuzjowania młodzieży — uciszyć dzwonkiem.

Środek okazał się skuteczny.

Do punktów dalszych przygotowywano się w powadze, niejednemu się może śniło, że jest co najmniej posłem na sejmie, i uśmiechał się taki wdzięcznie do bogini przyszłości, by mu wzamian zostawiła kiedyś miejsce poselskie, a może, może nawet... tekę ministra.

Ale wróćmy do rzeczy. Każdy członek bez żadnego nakużu wyższego zaopatrzył się w ołówek i notes, by prostować niedomówienia lub prosić o wyjaśnienie w niektórych sprawach.

Protokół z ubiegłego roku przyjęto bez poprawek, dobrze był napisany swoją drogą, a może dlatego, co jest prawdopodobniejsze, że wszszkie szczególiki zatarły się niejako przez przeciąg roku i najbardziej pedantycznym naturom nie dopisała pamięć. Drugi protokół, z ubiegłego tygodnia, z zachwycającego walnego zebrania, przyjęto z małemi poprawkami. Następnie sprawę z poszczególnych działów zdawali kolejno lustratorzy.

Muszę zaznaczyć, że najbardziej interesujący był ten właśnie punkt. Padały sumy obrotów naszych kas, sklepu, poszczególnych działów, padały statystyczne sumy zebrań, wieczorów, słowem wszystko tam było, cała praca jednego roku, zebrana w kolumny cyfr, policzone i zmierzone. Ten, kto oddawna znał tę pracę i widział stopniowy jej postęp i rozwój, z zadumą spoglądał na białe arkusze sprawozdań.

Skąd to się wzięło i kiedy groszowe nasze składki dały tysiące? Trudne do uwierzenia, a jednak prawdziwe...

Jedną sprawę należało podkreślić równie mocno na takim zebraniu, mianowicie, by prócz cyfr i pomiarów takiej pracy podać głębszą jej istotę i treść. Bo cóż, cyfry nie do wszystkich przemawiają jednakowo i warto było, zamiast biedzić się nad liczeniem zebrań, trochę pomyśleć nad ich scharakteryzowaniem. Należało podać, jak się odbywała praca, w jakich warunkach i w jakim kierunku szła.

Może mi ktoś zarzucić, że za długoby to trwało, a jednak sądzę, że przedewszystkiem powinno nam chodzić o istotę pracy i jej jakość, a nie ilość. I nowy Zarząd powinien pomyśleć nad tem, by zmienić utarte, szablonowe formuły: „o tem najlepiej poinformuje nas obrót, stan finansowy” etc... to dobre było kiedyś. Dzisiaj, kiedy organizacja nasza idzie naprzód w rozwoju swym, kiedy członkowie rozumieją jej cel i zadanie, z pewnością potrafią i bez pomocy „konkretów”—jakiemi w danym wypadku są liczby, zrozumić bieg pracy i odgadnąć kierunek, oraz charakter, o którym się teraz nie mówi, albo bardzo rzadko, a który przecież istnieje...

Przyjemną niespodziankę przygotowała również Rada Naczelna, podnosząc na zebraniu pracę i zasługi poszczególnych jednostek. I tak na specjalne wyróżnienie zasłużyła przedewszystkiem kol. Dobrzańska Jadwiga, ucz. IV kursu. Zbytecznym byłoby wyliczać wszystkie jej zalety, gdyż primo: żyje dotąd, secundo: znamy sami dobrze wielką jej wytrwałość, bezinteresowne oddanie się pracy i umiejętne jej prowadzenie. W dalszym ciągu wymieniono nazwiska Banulewicz i Wolfarta, należących do tych pracowników cichych i sumiennych, którzy umieli pogodzić pracę szkolną organizacyjną z obowiązkami ucznia. Słowa pochwały padły z ust prelegentów, jako wzór dla reszty i bodziec do dalszej pracy dla tych, którzy tę ideę ukochali.

Dyskusja trwała stosunkowo długo i wykazywała dużo zainteresowania członków dla spraw naszej organizacji, o czem świadczą fakty, że pewne przeoczenia prelegentów, pominięciem prostowali członkowie.

Podwójna nagroda spotkała gminę kursu III ż. Przedewszystkiem wyróżniona została za pracę i porządek, po drugie otrzymała obrazy od kursu V m. Koledzy bowiem, jako kurs ostatni, „wędrujący”, nie mieli gdzie z wiesić u siebie tych obrazów i postanowili na zebraniu gminy oddać je temu kursowi, który Rada Naczelna wyszczególni.

Po wyczerpaniu dyskusji i udzieleniu absolutorjum R. N. i Z. Gł. przewodniczący zarządził 20-minutową przerwę, gdyż według oznaczonego porządku o godz. 12 miało być drugie śniadanie.

Na głos dzwonka znowu w tej samej mniej więcej liczbie zajęli wszyscy miejsca. Prezes zaczął obrady nad nowym punktem, jakim było przyjęcie budżetu.

Najpierw rozpatrywano wpływy.

Ciekawą kwestją sporną była suma 300 zł., mająca wpłynąć, jako dochód z przedstawienia z Jasełek. Jeden z kolegów, zawodowy sportsman, jeszcze na przerwie agitował, by sumę tę w budżecie podnieść do 350, następnie 50 zł. „nadwyżki” przeznaczyć na 9-tą olimpiadę do Amsterdamu. Inni miłośnicy sceny pragnęli kwotę tę przeznaczyć na scenę. Argumentacja, pełna zresztą temperamentu, nie przydała się tu na nic. Na wniosek: czy powiększyć sumę 300 zł. o 50, większość opowiedziała się przeciw. Słuszne, możnaby było przeznaczyć na wszystko pieniądze, gdyby one tylko były, ale „naciągać rubryki” i kłócić się o sumy, których nie jesteśmy pewni, naprawdę nie warto — tem więcej, że deficyt z zeszłego roku w głównej mierze był właśnie wynikiem nieobmyślonego należycie preliminarza. Najbardziej sporne były sprawy sceny, gazetki i olimpiad. Wnioskodawcy zmian w zakresie odnośnych sum gotowi byli na wszystko, byle tylko zrealizować swoją myśl. Jeden z kolegów w zapale iście „wyścigowym” zagalopował się (tylko nie do Amsterdamu! — Broń, Boże), wyrażając się „z góry” o znanej instytucji filantropijnej, i sumę, dla niej przeznaczoną, proponował oddać na olimpiadę.

Każdy ma swoje zdanie i w kłótni na słowa różnie się może zdarzyć, chciałoby się jednak powiedzieć owemu koledze, że wyglądałoby takie postępowanie tak, jakbyśmy duchowego nędzarza przykryli złotem i gronostajami. Czy na długoby olśnił nas? Sądzę, iż większą korzyść przyniesie państwu (bo o to chodziło) brak żebraków, niż chwilowy rozgłos w Europie, zresztą skąd pewność, że tam wygramy?

Ciekawie przedstawiała się sprawa fryzjerni, na którą przeznaczono tylko 10 zł.—To stanowczo za mało—odzywa się głos „z galerji”—i fryzjernia przy takich warunkach nie może odpo-

wiadać naszym wymaganiom. — Ależ fryzjerna ze sprzętów ma najpotrzebniejsze, zresztą będzie miała dochody, a o co koledze chodzi?—Właśnie chodzi mi o to, że fryzjerna nasza nie uwzględnia wymagań kultury, nie posiada np. wody kolońskiej... Ogólny śmiech i brawa kolegów...

Domaganie się zwiększenia odnośnej sumy w preliminarzu staje się sprawą aktualną i poważną, jednakowoż większość zebrania wypowiada się przeciw zwiększaniu.

— Nie rozumiem, dlaczego koleżanki zabierają głos, odezwał się jeden z kolegów—przecież one nie rozumieją potrzeb chłopców! Na taki argument i grono nauczycielskie nie mogło powstrzymać się od śmiechu. Rada Naczelna, goście i koledzy zadowoleni są z tego konceptu — wszyscy się śmieją, wreszcie dzwonek przywraca spokój. Budżet zamknięto gorącą dyskusją, ale bez żadnych zmian, olimpiady nie doszły do skutku, a z wszystkim musiał pogodzić się szczególnie kurs III m.

Członkiem honorowym jednogłośnie, nawet „z pomrukiem zadowolenia“ sali, został mianowany były nasz prezes stowarzyszenia, Kopec Aleksander.

Wolne wnioski przeszły spokojnie, chodziło bowiem o ustalenie zakresu władzy naszego Zarządu w stosunku do Walnego Zebrania. Zebranie zakończono...

Wnioski „przeszły“.

Głosowanie na listy odbyło się w sali wykładowej od 14 do 17 $\frac{1}{2}$ godziny.

Osobiste moje spostrzeżenia: uważam, że na przyszłość należałoby przed zebraniem walnym pomyśleć o stworzeniu regulaminu obrad, któryby ułatwiał wspólne porozumienie się. Przydałoby się to zarówno przewodniczącym zebrań jak i członkom, zabierającym często głos. Ogólne wrażenie—miłe.

Zebrania takie są jakoby pierwszym zatrzymaniem biegu dni naszych, w celu zajrzenia do głębin życia. Cała bowiem gromadka młodzieży to jeden silny organizm, w którym jednostka jest tkanką, pełniącą przeznaczoną funkcję. Od czasu do czasu, w regularnych odstępach, aby ożywić, rozruszać lub usunąć martwe komórki (braki nasze), należy przez pryzmat wielkich szkielec spojrzeć w głąb, zastanowić się, pomyśleć...

Zebranie, prócz wymienionego już celu, są jeszcze miniaturową życiową, jakie nas czekać może w przyszłości.

Tu, wśród grona kolegów wypowiedziane pragnienia, choćby najróżniej pojęte, świadczą o większym lub mniejszym rozwoju uczuć społecznych, uczuć ludzkich.

Każde z nas ożywione jedną, ogólną ideą spółdzielczości, rozwijać będzie tę myśl na rozmaitych placówkach. Jedni może

w dziedzinie wychowania fizycznego „ciuć“ będą wspólne oszczędności, byle tylko podnieść polski sport, inni grosz zaoszczędzony zaniosą do domów sierot, ubogich, niektórzy będą się starali przyczynić do rozwoju sceny polskiej — a chyba najmniej zamknie się w skorupie własnego „ja“.

Uczmy się więc teraz już wdrażać w to, co nas obowiązuje na przyszłość, i spełnianie cichej, mrówczej pracy może większy dać rezultat, niż jeden wielki wysiłek.

A więc do przyszłego roku!

Do nowego sprawozdania!

Pracujmy w imię zawsze żywych i aktualnych haseł:

„Razem, młodzi przyjaciele.

W szczęściu wszystkiego —

Są wszystkich cele!“

Organizacja wewnętrzna „Zjednoczenia“ na terenie Białegostoku.

„Zjednoczenie“ zorganizowane jest według statutu normalnego dla spółdzielni (Statutem normalnym nazywamy statut, obowiązujący wszystkie Spółdzielcze Stowarzyszenia, Spożywców, dopuszczający tylko bardzo małe zmiany lokalne). Członkiem „Zjednoczenia“ może być każdy chrześcijanin bez względu na płeć, który ukończył 18 lat życia i mieszka na terenie działalności stowarzyszenia. Wstępujący do stowarzyszenia zobowiązany jest wpłacić 10 zł. tytułem udziału i 2 złote tytułem wpisowego.

Władzami spółdzielni na terenie m. Białegostoku są: Walne Zebranie członków, Rada Nadzorcza, składająca się z 12 osób i ks. Zalewskiego, który jest członkiem honorowym Rady Nadzorczej, ponadto Zarząd, złożony z trzech osób.

Walne Zebrania członków „Zjednoczenia“ odbywają się poważnie tylko raz w roku i są zebraniem sprawozdawczymi. Członkowie „Zjednoczenia“ jednakże, pragnąc bliżej zetknąć się z całą gospodarką swej spółdzielni, co leży bezwzględnie w ich własnym interesie, winni domagać się Walnych Zebrań co kwartał. Smutnym objawem na terenie omawianej spółdzielni jest to, że większość członków stowarzyszenia więcej kładzie nacisku na to, by spółdzielnia możliwie tanio sprzedawała towary swym członkom, aniżeli na ideę spółdzielczą, nie brak nawet objawów w tym względzie, godnych zaiste napiętnowania.

Według regulaminu spółdzielczego 5% ogólnego obrotu powinno „Zjednoczenie“ przeznaczyć na propagandę.



Rada Nadzorcza, pod przewodnictwem Prezesa, ks. Dziekana, odbyła zebrania co miesiąc.

Prócz tego pracują wyłonione z Rady Nadzorczej komisje: rewizyjna, gospodarcza i społeczno-wychowawcza.

Zarząd urzęduje stale.

„Zjednoczenie” należy do Związku Spółdzielni Spożyców Rzecznej Polskiej.

Centrala „Zjednoczenia” na terenie Białegostoku znajduje się przy Rynku Kościuszki 4, gdzie mieszczą się: sklep główny, magazyny, hurtownia tytoniowa, hurtownia soli i, na piętrze: biuro, rozlewnia octu, oraz kuchnia pracowników, nadto jest 7 sklepów filjalnych, rozrzuconych po całym mieście.

Kapitał udziałowy „Zjednoczenia” wynosi 23.000 zł., kapitał społeczny 30.800 zł. „Zjednoczenie” zatrudnia 32 pracowników.

Jerzy Lazur.

Z naszego życia sportowego.

Z różnych niedomagań naszego życia uczniowskiego jedno mię głównie zastanawia i zastrasza zarazem: upadek ducha sportowego wśród kolegów i koleżanek. Dla mnie, który tej dziedzinie życia poświęciłem kilka lat pracy i współpracy, być świadkiem jej powolnego umierania, widzieć ją na łożu śmierci, jest ciosem naprawdę dotkliwym.

Przed paru dniami, rozmawiając w tej sprawie z jednym z kolegów, taką od niego usłyszałem uwagę: „Nasze Koło Sportowe jest chore na galopujące suchoty”. I kto wie, czy kolega ów nie powiedział prawdy. Zaiste, bolesna byłaby to prawda!

I dziś, może już po raz tysięczny, stawiam sobie pytanie: co jest przyczyną tego upadku?

Czyżby wzniosła idea i z związany nią ruch sportowy już się przesiliły, utraciły swą aktualność?

Jednakże odpowiedź taka jest niedorzeczna, wprost śmieszna! Niestety! Skutki naszego zaniedbania sportu już się ukazują, a co dalej będzie, Bóg raczy wiedzieć.

Przyczyny upadku są różne: zależne od nas i niezależne. Wyliczać ich tutaj nie będę. Wymienię tylko jedną: brak zrozumienia ważności sprawy i brak dobrej woli w tym kierunku.

Taki stan rzeczy skłania mię do wypowiedzenia kilku — potrzebnych moim zdaniem uwag na temat znaczenia sportu dla pracy pedagogicznej nad rozwojem fizycznym młodzieży.

Z różnych dziedzin sportu jedna mnie szczególnie interesuje: piłka siatkowa. Przypisuje jej największe znaczenie dla

tego, ponieważ najłatwiej ją stosować w szkole powszechnej. To też trwożę się, widząc niedocenywanie jej wśród nas.

Ona to przede wszystkim będzie na wsi unaoczniała sport, a brak jej na wsi będzie zgola i brakiem sportu. Jakież bowiem z innych gałęzi sportu można zalecać dzieciom w wieku od lat 7 do 14-tu?

Jacyż z nas będą kierownicy wychowania fizycznego, co będziemy mogli zrobić gdzieś na wsi dalekiej, skoro sami w tej dziedzinie nie będziemy posiadali ani przygotowania, ani zainteresowania!

Jakież więc będą wtedy wyniki naszej pracy w tym kierunku?

Nie chcę być ani Jeremjaszem, ani Skargą, ale i nie życzę sobie być „głosem wołającego na puszczy”.

To też wołam do Was wszystkich, tych, którzy nie docenicie ważności tej gałęzi naszego ogólnego wykształcenia: weźcie pod uwagę słowa moje, a nie przejdźcie nad nimi do porządku dziennego, bo... wtedy sami wydadcie świadectwo o sobie.

R. Kurs IV-ty m.

Radjo i moja rada.

Nasz ostatni koncert radjowy. Po mnóstwie rozlicznych szumów i pisków słyhać wreszcie miarowe: tyk-tyk! tyk-tyk! tyk-tyk!...

Wiedeń nadaje. Słyhać tamtejszy monometr, oraz... głos artystki...

Nagle cisza. (Uwaga wśród publiczności). Widocznie artysta pije wodę.

Wtem przeraziłowe au! au! auau!... trrrr! fiuut! wrywa wszystkich z pełnego rezygnacji wsłuchiwanie się w... ciszę.

— Dlaczego on to pisze? — pomyśli niejeden z czytelników naszej kochanej „Młodej Myśli” — żeby chociaż napisał, w którym miejscu się śmiać no, to jeszcze...

Piszę dlatego, ponieważ chcę zaznaczyć, że słuchanie radja przez najlepszy głośnik nie daje takiego efektu, jak słuchanie przy użyciu słuchawki.

Otóż, ponieważ, dlatego, iż... (jak się nadzwyczajnie wyraził na Nadzwyczajnym Zebraniu jeden z naszych kooperatystów — z tych większych), otóż winniśmy dążyć do tego, by każdy i każda mieli własny, dobrze oddający koncerty aparat radjowy.

— A skąd weźmiemy „forsy”?—słyszę pytanie. Otóż moja niktła wprawdzie wiedza z dziedziny radjofonji pozwala mi podać do wiadomości, iż wiele części do radja można dorobić samemu.

Jak je wykonać, jak się wogóle zebrać do budowania aparatu radjowego, winny nauczyć nas kółka radjowe.

Niestety, dotąd były tylko niezrealizowane chęci w tym kierunku.

Warto, naprawdę warto, pomyśleć o radju, które w przyszłej pracy nauczyciela nieocenione wprost oddać może usługi.

Słowa niniejsze piszę dlatego, iż chcę zachęcić do zakładania kółek radjoamatorów na terenie naszej szkoły.

Może powie ktoś, że i tak tych różnych kółek mamy dosyć; otóż ten ktoś napewno nigdy nie słuchał cudnych koncertów radjowych.

A zatem — do pracy!

Ja się już prawie wzięłam do niej, miałem nawet niektóre części aparatu, no ale, ale...

Nie było — artykułu, któryby zachęcił mię do dokończenia montowania.

Ci, którzy przeczytali tych kilka luźnych uwag, podobnej wymówki mieć nie mogą.*)

A teraz jeszcze pod sekretem coś powiem.

Dobrze spełniane obowiązki czasami są nagrodzone doskonałym aparatem radjowym.

Nie znaczy to jednak wcale, żeby tylko dlatego spełniać dobrze swe obowiązki...

Daleki jestem od podobnej myśli.

Jerzy Lazur.

KAUCZUKOWY KOŁNIERZYK.

(Humoreska).

Przy ulicy Sienkiewicza, w wielkim mieście Białymstoku, „leżał sobie” spokojnie na półce pana Srula Potockiego kauczukowy kołnierzyk.

— Kołnierzyki pikowe wszystkie czarne, jak sumienie Mefistofelesa. Co tu robić? — skarży się biedny sztubak. Dumał, myślał, co na jedno wychodzi, no i pewnego mroźnego

*) Cennych rad co do radja może nam udzielić (jeżeli go o to grzecznie się poprosi) kol. Anatoljusz.

popołudnia, między godz. 14 i 16, zawitał do pana Srula i poprosił o kauczukowy kołnierzyk.

Poco obwijać w bawełnę—tym nieszczęśliwem byłem... ja... Z chwilą, gdy kauczukowy kołnierzyk stał się moją własnością, zaczęły się walić na mnie nieszczęścia. Ach! ileż on ich wprowadził na moją biedną głowę!

Moment wkładania kauczukowej obroży, trwający 3 godziny, kosztował mnie trzy 20-groszowe spinki, które, nie wytrzymawszy miłosnego uścisku kauczukowego kołnierzyka—pękły.

Nowiutki krawat! Co za krawat! Jaki ładny krawat... urwał się!

— No, weźże człowieku i podciągnij węzeł krawatu, gdy kauczuk tak go przycisnął, iż... Trzech nas ciągnęło, a węzeł wciąż trwał w swem pierwotnem położeniu!

Ale to tylko początek tragedji. Lekcja... wtem charakterystyczny... pszytk... i kauczukowy kołnierzyk się rozjeżdża...

Jak go zapiąć, gdy uwaga trwa, musi się skupić na przedmiocie, dziurki zaś kołnierzyka są jeszcze twardsze, aniżeli serca ludzkie?

Ileż mąk mnie to wszystko kosztowało! Ileż krwawego potu wylało me czoło!

Wreszcie, dzięki wydatnej pomocy kochanego Hieronimka, jakoś się zapięło.

— Kaziu, kotku, ty, który nosisz gumowy kołnierzyk od urodzenia, wykształć mnie w kierunku używania tej gumowej obroży—wyrzekły me zboliałe usta.

Kazio uczynny, jak mógł, tak ciągnął krawat i gniótł kauczuk, jednakże bez najmniejszego skutku.

A koszta? Ech, niewarto mówić!

Sam kołnierzyk 1.50 gr., krawat — 4 zł., 3 spinki—60 gr. razem... okropność!

— O, nigdy już nie kupię kauczukowego kołnierzyka!

Jerzy Lazur.

Migawki z Walnego Zebrania U. S. S. Nr. P. 22/I 1928 r.

— Zebranie uważam za rozpoczęte—formułę powyższą wygłosił najwyższy urzędem na terenie naszego U. S. S. Br. P. kol. prezes Rady Naczelnej.

— Na przewodniczącego powołuje kol. Władka, na asesorów i kolegę i koleżankę X. i Y., na sekretarzy: sławnego szkolnego ogrodnika Bazylego i kol. Zosię.

Bazyli—Zosia!—ileż poezji można związać z temi dwoma imionami!

Przewodniczący zebrania był dobrze przez Radę Naczelną „wymyślony,” gdyż jako dobry śpiewak i muzyk najciszej mówiącego w ogólnym szmerze mógł wyróżnić.

Jednakże trzeba powiedzieć, że przewodniczący zachował zimną krew do końca zebrania, ani razu nie chwycił za dzwonek tak, jakby chciał nim rzucić na „gardłującego” mówcę z sali.

Kol. „Okularnik”, z miną i gestem bywalca wszelkich zebrań, wygłosił nam pianissimo wcale dobre sprawozdanie. Ze sprawozdania tego wynikało, że w roku 1927 zarost kolegów był silniejszy, niż w roku poprzednim, a to z tego względu, iż fryzjerna przyniosła dochód znacznie wyższy, aniżeli w roku 1926.

Jeżeli chodzi o wychowanie fizyczno-moralne, to sprawozdanie kol. Janki cały czas mówiło nam prawie, tylko o harcerzach.

Pięciu z nich otrzymało stopień „włóczęgów”, ośmiu stopień pionierów, krawców, dorożkarzy etc.

Boże, czyż my nie harcerze, nie rozwijamy się ani fizycznie ani moralnie?

Najładniejszą pozę, czytając najeżone cyframi sprawozdanie budżetowe, miał kol. Józik.

Co za mina! Jaka dykcja!

Z resztą nic dziwnego: „kto na tem zęby zjadł”, temu pewnie żadnej trudności nie sprawia wygłoszenie sprawozdania. Jeżeli chodzi o krytykę sprawozdań (ja ujmuję tylko ujemną), to większość audytorjum orzekła, że były one jakby bezduszne, dużo musiał słuchający sam sobie dopowiadać.

Słyszeliśmy cały szereg cyfr, natomiast o pracy ideowej, o pracy prowadzonej chociażby na poszczególnych kursach, bardzo mało, ale to tak mało wspomiano, że „prawie nic”.

* * *

— Co Zarząd przedsiębrał celem „puszczenia w ruch” życia towarzyskiego?—posłyszano natarczywe pytanie.

— Kolego, czy kolega spał, kiedy w sprawozdaniach czytano o wspólnej wigilji, o tańczącym karnawale etc?

— Mea culpa! Przeoczyłem.

Przyjęcie preliminarza budżetowego. Dyskusja się ożywia. Kolega Wolfart, żywa, chodząca kooperacja, referował „tę najżywotniejszą część” Walnego Zebrania.

Była to najciekawsza część zebrania, jeżeli chodzi o świadectwo, jak naogół nasze młode społeczeństwo orjentuje się w sprawach organizacji.

Już przy drugim punkcie preliminarza pewien dość gruby kolega, który sportowo skacze 85 cm. wzwyż, koniecznie chciał jechać na olimpiadę do Amsterdamu!—szkoda, że nie do Honolulu.

— Podwyższyć dochód z Jasełek do 350 zł. i 50 zł. przeznaczyć na olimpiadę w Amsterdamie!—upierał się ów sportsmen.

Inny kol., podobny do Diogenesa, który życie swe spędził w beczce, pełny nadziemskiego blasku w oczach, gwałtownie dowodził, że sumę powyższą należy „dać” na scenę.

Jednakże ani jednego, ani drugiego wniosek nie znalazł poparcia, gdyż... koleżanki punkt powyższy pozostawiły bez zmiany.—Ano nec hercules contra plures!

Inne punkty preliminarza omawiano bardziej spokojnie, energię chowając na domaganie się zmian w budżecie wydatków.

— Proponuję podnieść sumę 10 zł, przeznaczoną na fryzjernię, do 30 zł.—odezwałem się z świadomością sprawy.

Jednakże koleżanki, które, nie rozumiejąc widocznie potrzeb kolegów (w całym swym życiu widziałem tylko jedną kobietę, która się goliła, a żyję już prawie 21 lat), pozostawiły i ten punkt bez zmiany.

Kilkakrotne apelacje kol. Jasia i Anatoljusza, żeby przeznaczyć cośkolwiek więcej na scenę, również dzięki... koleżankom! spaliły na panewce.

Preliminarz budżetowy pozostał tak, jak go stworzyła Komisja Budżetowa.

Nawet tego rodzaju wnioski, jak wniosek kol. Anatoljusza, ażeby przeznaczyć „drugie śniadania na scenę”, nie znalazł poparcia, nie mówiąc już o jego zrozumieniu przez audytorjum.

Najsympatyczniejszymi momentami zebrania był chyba początek, kiedy przewodniczący odczytał telegram członka honorowego naszej organizacji, p. Rusieckiego, i chwila mianowania naszego kochanego byłego kolegi, Aleksandra Kopcia, członkiem honorowym.

Jerzy Lazur.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

„W noc wigilijną”. Nie wydrukujemy jedynie dlatego, że nieaktualne. Sam obrazek charakterystyczny i w treści i formie.

„Autorowi obrazka z powst. 1863 r.” Nie skorzystamy. Rzecz nie bez wartości, treść jednak błada, nikła.

„San.” Nie do druku. Pierwsza połowa dosyć udatna, druga słaba. W całości brak jednolitego nastroju, a pewne niedociągnięcia stylistyczne zaciemniają zamysły autora względem głównej postaci tej fantazji. Mimo to prosimy nie zrażać się odmową, lecz pracować wytrwale nadal na tem polu.

„Kino”. Nie będziemy drukowali w „Młodej Myśli”, dla której tę humoreskę satyryczną — mając na względzie charakter naszego piśmka — uznaliśmy za niestosowną. Rzecz pisana jest z dużą werwą komiczną i szkoda, że zdrowy zrazu humor stopniowo przechodzi w — groteskę! Przesada nie razi, owszem, ułatwia osiągnięcie zamierzonego wrażenia, ale tylko do pewnych granic; poza niemi staje się niesmaczna.

„Wieczór wigilijny”. Nie możemy zamieścić tylko z powodu nieaktualności obrazka, który zresztą jest ciekawy i miły zarówno w swej treści, jak również w sposobie ujęcia rzeczy.

„Urywek z życia”. Nie nadaje się do druku, bo treść słaba, a styl nielepszy.

„Wspomnienia z wigilji”. „Mogiła”, „Zimowy wieczór”, „Wspomnienia”. Wszystkie te wiersze nie do druku, bo bardzo słabe i z poezją nic wspólnego nie mające. Radzimy próbować swych sił w prozie, bo takie wiersze, zamiast wzruszać, tylko rozśmieszają.

Redakcja.

Drukarnia Diecezjalna
w Łomży.